Należytość pocztowa opłacona ryczałtem.

ROK 52. KRAKÓW, DNIA 8. MAJA 1920 Nr. 7

DJABEŁ

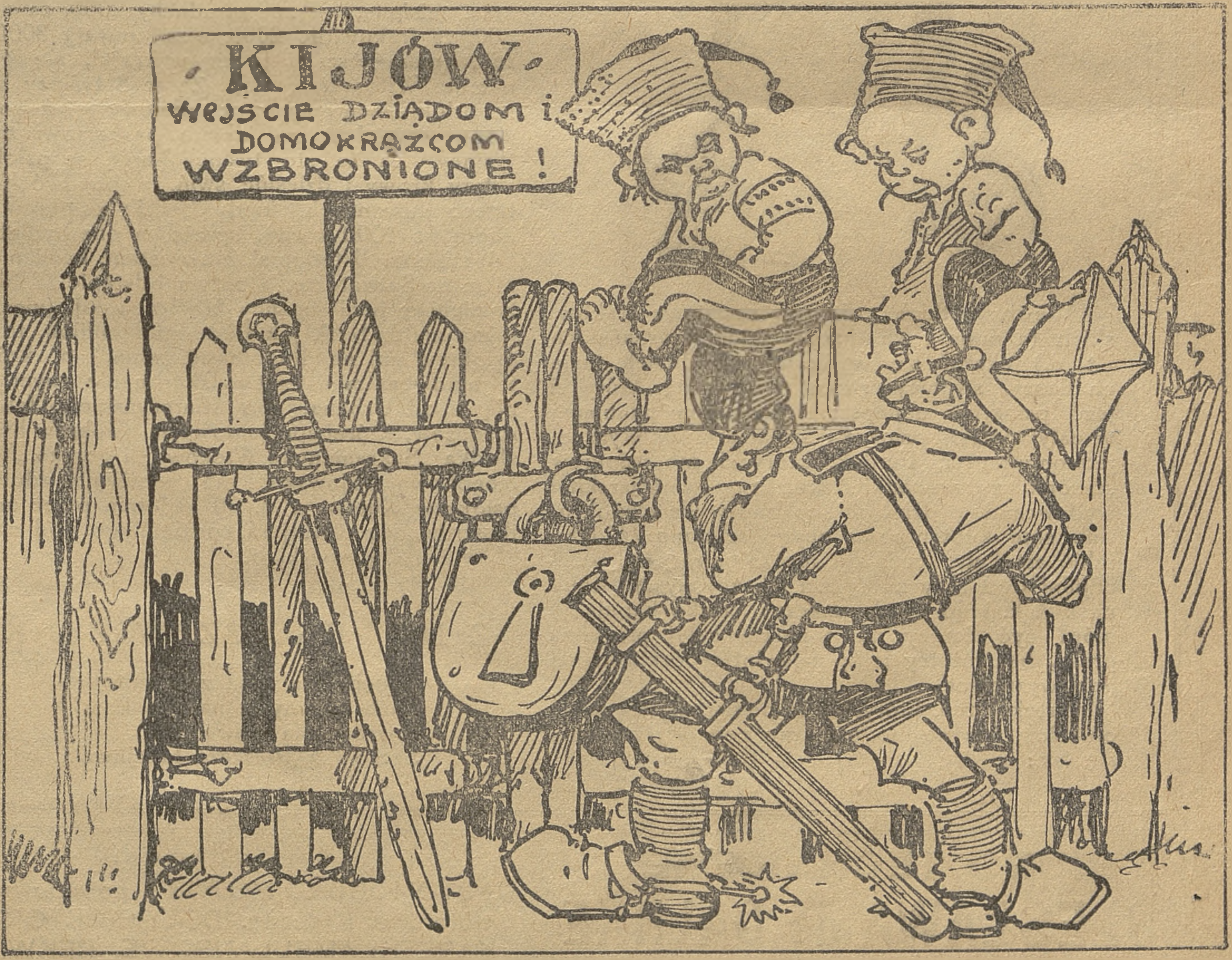
Prenumeratę, listy, artykuły należy nadsyłać pod adresem
WYDAWNICTWO TYGODNIKA „DJABEŁ“
WŁADYSŁAW BORKOWSKI
Kraków, ul. Niecała 4.
Cena egz. 2 Mk. 80 f. (4 K.)

Prenumerata w Krakowie i na prowincyi wraz z przes. poczt.:
całorocznie . . . . . 120 Mk
półrocznie . . . . . 60 „
kwartalnie . . . . 30 „
Cena egz. 2 Mk. 80 f. (4 K.)

WYCHODZI CO SOBOTĘ.

TYGODNIK SATYRYCZNO-HUMORYSTYCZNY, ILUSTROWANY.

POLAK WPROWADZA UKRAIŃCÓW DO KIJOWA



Ataman. Dziękujemy wam, dobrodije Lachy, za pomicz, ale budte łaskowy posuwaty sia spilno z nami, bo ci złodii bolszewiki mogut nam szkiru peretrepaty — a to bułoby duże ne fajno.

Od Wydawnictwa.

Do Szanownych P. T. Prenumeratorów.

Prosimy o odnowienie prenumeraty! Warunki w nagłówku. — Adres wydawnictwa tygodnika »DJABEŁ«:

Władysław Borkowski, Kraków
ul. Niecała L. 4.

Do wszystkich Agencji dzienników i Księgarń kol.! — Zawiadamiamy, że z dniem I. Kwietnia cena egzemplarza „Djabła“ kosztuje 2 Mk. 80 f. — 4 K.

WICEK SOCJALIK.



We wszystkich psiokrew szmatach krakowskich (a pono i we warsiawskich, poznańskich i t. d.) ukazał się w pierwszych dniach maja na pirszyj stronicy artekuł wstempny, który ci jezd psiokrew najlepszym dowodem panującej w całyj polskij psiokrew szmaciarni poletycznej jednomyślności. Ferdyk, który ci mo psiokrew stosonki ze wszystkimi psiokrew szmaciarskimi wydawcami, pedział mi co one wydawcy okrutnie som kuntentne z onygo artekułu. Gdyby takie artekuły, pedziały mu te sufragany, przynajmni dwa razy na tydziń ukazowały się, toby nasz c. k. rząd (c. k. znaczy: ciężko kapujący) mógł być liczący na poparcie całyj psiokrew prasy, bez różnicy jakie najświntsze przekonania jezd wyznająca.

Artekuł ten, który, jak to pedajom, całą prasę obleciol (śmyrne mo psiokrew pedały!) zaczynał się tak:

„Ministerstwo skarbu zaprasza do podpisywania uchwalonych przez Sejm ustawodawczy dn. 27/II r. b. dwóch pożyczek państwowych; *a)* długoterminowej i *b)* krótkoterminowej“. Kto chce sie być z dalszym ciągiem zapoznający, niech se psiokrew kupi Ryformę abo jenszygo Kurjerka, które tero potaniały, bo kosztujom ino j e d n ą markę, a dawnij kusztowały aże d z i e s i ń ć halirzy.

A no jak kto kogo do czego psiokrew zaprasza, to trza przyjąć zaproszynie. Lotygo tyż mom nieprzymuszonom wolę oną pożyczkę zaciągnąć. Ino nie miarkuwałem która bedzie lepsiejsza: długoterminowa czy krótkoterminowa? Ale jakem se psiokrew przypomniał co nieboszczyk Lyo zawsze zaciągał pożyczki krótkoterminowe, a to beł financminister, tom sie w kuńcu zdecydował na oną psiokrew krótkoterminowość.

Co prowda hopów ni mom. Ale tero o hopy łatwij psiokrew jak o bochynek chleba. Mom dwie pary adachów, to jednom psiokrew przekuję; kosztuwała przed dwoma misioncami 500 korun, tero jezd wartująca 1000 korun. Za sikorę, za którom zapłaciułem przede wojnom 20 korun, bele gudłaj da tero 400 korun, abo i więcyj. Za frakowidło, co kosztuwało 100 korun, da pan Szmaus 1000 korun. Mom tyż pińć czyrwonych krewatów — kużden tero jezd wart 300 korun — co razem w kupie da 1500 korun. Mom więc kole cztyrech tysincy. Ale jo nie głupi cobym zaro sprzedawał. Poczkam se jeszcze psiokrew misionc, a weznę za adachy 2000, za sikorę 800, za frakowidło 2000, a za krewaty 3000 korun, (mom jeszcze jeden w kratki, ale go se u mnie Witos zamówiuł). Za te 8 tysincy kupię se psiokrew mikrny obraz olejowy — a po misioncu sprzedam go jakimu paskarzowi za sto tysincy. Za te sto tysincy kupię se psiokrew cztyry krowy i dziesińć świń, a po dwóch abo trzech misioncach, kiedy bedzie psiokrew kilo mięsa po 1000 korun, sprzedam one bydlęta za pół miliona. Wtedy psiokrew ostanę kamienicznikiem na Salwatorze, a potym odstąpię za milijon kamienicę pani poślicy Moraczewskij, (niech se i una zarobi!) A jak bede mioł milijon, to mie psiokrew ani na długoterminowom, ani krótkoterminowom ministerstwo skarbu nie chyci. Kupię se od Urbana, abo Miarczyńskiego fabrykę rosolisów, której specjalnościom psiokrew bedom słodka „Sakramencka Wickowa“ i gorzka „Wiercipępkowa Kijowska“ na uczczynie zdobycia psiokrew Kijowa w d. 80 kwietnia przez armiją illustrowanego Kurjera codziennygo pod wodzą Maryjana Dąbrowskigo.

Z NOWEGO SZEWCZENKI.

Tanciuwała ryba z rakom,
Lach naiwnyj z hajdamakom.
Jewropa sia dziwowała
Szczo tak Polszcza tanciuwała.

Z CHWILI.

Aktor został doktorem filozofji. Dziwią się ludzie, bo tego nigdy nie bywało. My tego zdziwienia nie podzielamy. Dlaczego aktorzy nie mają być doktorami filozofji, kiedy tylu doktorów filozofji było i jest... komedjantami.

Brygadjer Marjan Dąbrowski, zdobywca Kijowa w d. 30 kwietnia, odbiera ze wszech stron gratulacje. Między innemi otrzymał od Paderewskiego telegram: „Ja i moja żona serdecznie się cieszymy z pańskiego zwycięztwa“. Dr. Konczyński złożył hołd w imieniu stronnictwa republikańskiego. Towarzystwo „Makkabi“ urządza na cześć zwycięzcy zawody nożne u wylotu ulicy Dietla. Rada m. powita powracającego brygadjera przed bramą tryumfalną, wzniesioną naprzeciw teatru Bagatela.

Umieszczony w tygodniku illustrowanym „Rewja“ artykuł o więziennictwie polskiem, namawia najwyraźniej do kradzieży i rozbojów, warunki bowiem w więzieniach są tak, podług „Rewji“, idealne, że „więzień po wyjściu z więzienia ma fach w ręku i przyzwoite oszczędności w gotówce“. Jestto więc lepszy interes od wydawania głupich ilustrowanych tygodników, które przynoszą tylko deficyt

„Szczerbie“, miecz koronacyjny, którego użył pierwszy Łokietek przy swej koronacji, zaginął podczas zajęcia Krakowa przez Prusaków (1795). Odnaleziono go za naszych czasów w zbiorach Bazylewskiego. Dnia 30 kwietnia uderzył nim Marjan Dąbrowski w „złotą bramę“ Kijowa.

— Chciałbyś być ministrem?
— Dziękuję, mnie i tak żona codzień od niedołęgów wymyśla.

W b. Galicji jest większa wolność prasy niż w b. Królestwie. Za telegram o zajęciu Kijowa w d. 30 kwietnia wytoczono proces warszawskiej „Gazecie Porannej“ (Dwugroszówce) — w Krakowie zaś za podanie tej wiadomości nie spadł ani włos z bogatej czupryny „Illustr. Kurjera codziennego“.

ZWAŻYWSZY.

Zważywszy, że szlachetne Hajdamacji syny
Nie splamiły się nigdy ohydnymi czyny,
Zawarliśmy z Petlurą przyjacielstwo broni,
Aby tym sympatykom Orła i Pogoni
Dopomódz do budowy Wielkiej Ukrainy.

Zważywszy, że rabunek przestał już być zbrodnią,
Rezunie wzrósłszy w siłę wnet to udowodnią.
Że Polacy powinni po bratersku, szczerze,
Na zadatek miłości złożyć im w ofierze
Chełm, Białoruś, Podlasie i Galicję Wschodnią.

Zważywszy, że z grzeczności Polak zawsze słynie,
(Dowód na Górnym Śląsku, Gdańsku i Cieszynie)
Bądźmy pewni, że wielcy nasi dyplomaci
Wytłómaczą, że Polska nic a nic nie straci
Oddając te drobnostki „bratniej“ Ukrainie.

DROGA KACZKA.

Urząd do zwalczania lichwy wytoczył śledztwo przeciw wydawcom Ill. Kurjera codziennego, gdyż jak się pokazało zarobili oni na jednej kaczce (o zajęciu Kijowa) 20 tysięcy marek.

LIST NIKIFORA MORDOPLUJEWA DO IWANA PIOTROWICZA WZIATKOWA.

Piszu ja do tiebie, mój brat, chatia uże zabył i pisat' pa russki. Da i gawarit' mnie trudno, tak kak czerez piat' godow ja russkawo słowa nie słychał i tu w Warszawie ja prozwałsia Twarzowski i za Polaka przedstawlałsia, cztob Germańcy mienia nie wytaszczyli. Tak prosti czto ja budu pisat' w połowinie pa russki, a w połowinie pa polski.

A no Prywiślańskawo kraju zdieś uże niet, Polsza tu tieper wielikaja. Wsie szyldy pa polski, w uczastkach gawariat pa polski. W Belwederze nie Hurko ani Skałon, no pan Piłsudzkij. Wmiesto gosudarstwennawo herba białaja ptica. Do Warszawy prinadleżyt Krakow i Poznań...

No nie bojtieś. Wsio eto duraczestwo, pautina. Paliaki nie wydierżat tak kak ich rżond ni kczemu nie goditsia. Czynownikow u nich sto tysiacz, no niet i tysiacza sposobnych. Dienieg nie imiejut a miljardy brosajut. A my potisze diełajem. Głupyj narod rabotat' nie choczet, tak my jewo buntujem i na bolszewicku wieru perewiertajem.

No najbolje podkopujut Polszu sami Paliaki. Ty znajesz miłyj drug, jak eti buntowszczyki Paliaki wsiehda dumali tolko a tem cztoby zjednoczyt' sia, cztoby i russkije i awstrijskije i giermańskije Paliaki byli razom, byli w kupie, kak oni gawarili. Chatiaby pod carom, chatiaby pod knutom, byle razem. No tieper oni zjednoczyliś, i hajże na Soplicę! kak piszet pan Tadeusz Mickiewicz. Awstrijskie Paliaki gawariat czto Warszawiaki to drań, swołocz; Warszawiaki piszut czto niet bolszoj hołoty jak Galicjanie, a poznańskije Paliàki krestiatsia i pred etimi i etimi i gawariat im: poszli won, mierzawcy! Jeszcze god, ili dwa, a wmiesto adnoj Polszy budut tri maleńkije, słabyje. Dmuchniesz, a propały. I nie nużno byt' prorokom, cztoby predwidiet' czto kak my pomirimsia z Germańcami, to nietolko Litwa i Biełaja Ruś, ale i ciełyj kraj Prywiślańskij budiet abratno nasz, a Germańcy Poznańczykow utieszat, bo wazmut ich na nowo cztoby ich od hołoty polskiej achranit! Nu, Ga-

licji Awstrji powratit nie można bo Awstrija propała. Tak połowinu Galicji my zabierom, a połowu addadim bratiam Czechom, bo to wierne nasze druchy, a im, kak znajete, wsio „potrzebne" — nu tak im i Krakow „potrzebny" i sol wielickaja „potrzebna" i Zakopane „potrzebne". Na zdar!

Tak powtariaju nie bojtieś — wsio budiet charaszo, chatiaby tieper Paliaki i Kijew wziali.

Ukraińcy tak do zdrady sposobni, czto Paliakow w trubu pustiat i jak eto było za dawnoho wremieni nam na łasku oddadutsia (tolko ich prowodyrom nużno budiet łapy posmarowaty). I woskresnet wielikaja Rassija — carska ili bolszewickaja, eto wsio rawno. A Polszi nie budiet, bo Paliaki sami o to postarajuś — a my budiem opiat' czynownikami w Priwiślinji.

Z głuboczajszem paczteniem

4 maja. *Wasz Nikifor.*

ŻYWNOŚĆ IDZIE.

Żywność idzie, idzie żywność
Pociągami, wagonami —
Codzień nowy komunikat
Taką wieścią głód nasz mami.
Mąka, krupy, ser, konserwy,
Mleko w puszkach i słoninka...
Człowiekowi gdy to czyta
Cieknie aż z rozkoszy ślinka.
Piramidy artykułów
Zgromadzono ponoś w Gdańsku.
Toż dopiero będzie frajda,
Toż zaczniemy żyć po pańsku!
Jedna tylko jest obawa,
Musim tutaj wyznać szczerze,
Że przesyłki i transporty
Znów zostaną na papierze.
Że ta żywność nim przyjedzie
Zniknie niby lotna para
I dostanie nam się tylko
Dobrze znana b r y n d z a stara.

JAK DAWNIEJ BYŁO.

Minęły piękne i urocze czasy,
Gdy cetnar węgli miał cenę korony,
Masarz za kilo wieprzowej kiełbasy
Również koroną był zadowolony!
Kiedy na wiosnę — któż to nie pamięta —
Ziemię krasiło różnobarwne kwiecie,
Z młodą sałatą jadło się kurczęta,
Łososie, smaczny kawior przy bufecie!
Pstrągi w gorącej gotowane wodzie,
Jedzone z świeżem masłem, zachwycały —
Combry zajęcy i sarn były w modzie,
Różnego drobiu, ptactwa zastęp cały!
Gdy polędwicę na rożnie pieczono,
A z niej sok smaczny jakby nektar kapał —
Kiedy nią gości z kompotem raczono,
Do jadła wzrastał niekłamany zapał!
Gdy nadziewany indyk z kasztanami
Z smaczną sałatą w miły zachwyt wprawiał,
Lub ze śmietaną piróg z borówkami
Uroczym smakiem języki zabawiał!
Gdy przed objadem pito „goldwassera"
Zaś przy obiedzie węgrzyny, madery,
Lub liczne bomby smacznego pilznera —
Przy czarnej kawie koniaki, likiery!
Gdy na weselu zaślubionej pary
Pito szampana, ciastami raczono,
Lub podawano miód pół wieku stary —
Cukry i smaczne lody roznoszono!
Wszystko przepadło i nigdy nie wróci!
Z tego co było zostało wspomnienie!
Kto w piękną przeszłość teraz okiem rzuci,
Z piersi się jego dobywa westchnienie!
Bo dziś za bułkę, pigułki wielkości,
Piekarz dwie marki żąda bez wahania —
Kupić kiełbasy nikt nie jest w możności —
A kilo mięsa majątek pochłania!
Kieliszek wódki, lub bomba pilznera
Dziś osiągnęły ceny niebotyczne,
A tokaj, szampan to dzisiaj chimera
Zyskały ceny straszne, fantastyczne!
Dziś kiedy wszystko przynosi nam szkodę,
Kiedy we wszystkiem doznajemy braku,
Aby nie zginąć, pić musimy wodę,
Jeść chleb pieczony z owsa i pęcaku!
Bardzo dziś smutne jest nasze istnienie —
Nawet feniga nie warta świat cały —
Ja mam dla niego jedyne życzenie:
Przepadnij świecie stary, strupieszały!

T. S. K.

SONET.

Wspaniały sonet posłałem
Zosi, co ją piękność zdobi,
A wieczór sam się wybrałem
Pod okno, widzieć, co zrobi:
Ojciec do fajki nakłada
Tytoń z powagą fajczarza,
Zosia rączkami układa
Mój sonet w formę wachlarza.
Za gorset go włoży mała,
Myślałem i wielcem ją chwalił —
Lecz ona sonet podała
Ojcu — by fajkę zapalił.

T. S. K.

MONOLOG SZMAJGEŁESA.

Dla mego zęcza szukałem
Jakiesz dobre zatrudnienie,
Ale długo nie wiedziałem,
Do czego ma uzdolnienie.
Bicz doktorzem od leczenia,
Zysk jest zawsze oczywisty,
Ale łatwoszcz zarażenia
Na brzydki tyfus plamisty.
Adwokat ma też w udziele
Piękne zyski — wszyscy wiedzą —
Lecz ich teraz jest za wiele —
Jak pluskwy na kupie szedzą.

Budowniczy też zarabiacz
Może dużo, gdy buduje,
Lecz dziś trudno co jest stawiacz,
Bo cegła markę kosztuje!
Służycz w wojsku także ładnie —
Można pięknie awansowacz,
Ale gdy wojne wipadnie,
Bardzo łatwo skrepirowacz!
Urzędników bardzo cenię —
Pięknie też bicz profesorem
Lecz dla tego, co pragnienie
Ma bicz wiecznie głodomorem.
Długo też medytowałem
Nad zawodem zęcza mego,
Lecz nareszcie mu wybrałem
Cosz ogromnie fajnownego.
Un w stójkowych stanie rzędzie
Od policyi — to nęcące
Są posady — marek będzie
Mieć na miesiąc trzy tysiące.

SPIRYTYZM.

Przed laty wracałem około północy z moim kolegą ze zgromadzenia spirytystycznego. Noc była ciemna, niebo okryte czarnemi chmurami, a silny, zimny wicher z deszczem wył po ulicach. Obaj byliśmy zziębnięci. Na naleganie kolegi wstąpiłem do jego kawalerskiego mieszkania, aby się ogrzać ciepłą herbatą, którą przyrządzał na samowarku spirytusowym. W mieszkaniu zapalił lampę, do samowarka nalał wody i spirytus zapalił. Wicher na ulicach wzmagał się, a ciężkie krople deszczu uderzały silnie w szyby okna. Kolega nie wierzył w spirytyzm, nazywając go blagą. Mimo to był silnie rozdrażniony, gdyż na zgromadzeniu przywołany duch jego dziadka, przepowiedział mu że wkrótce umrze. „Blaga, straszna blaga!“ wołał, gdyśmy zasiedli przy stole, na którym stał samowarek spirytusowy. „Głupcem być trzeba, aby w to wierzyć, że jak kto umarł i niema już żadnej styczności ze światem, dusza jego na wezwanie jakiegoś głupca zjawia się na ziemi i wygłasza jakieś przepowiednie lub odpowiada na zadawane pytania. Ja urodziłem się po śmierci mego dziadka i nie znałem go. Mój dziadek, jak słyszałem, był bardzo światłym człowiekiem i jeżeli prawdą by było, że dusze zmarłych mogą się zjawiać na ziemi, to chyba mój dziadek miałby coś mądrzejszego do roboty, aniżeli zjawiać się na zgromadzeniu spirytystycznem i wygłaszać jakieś przepowiednie“. Gdy tak mówił, wicher na polu wzrósł do siły huraganu, jęczał w kominie, trząsł szybami okna, a smugi deszczu zalewały ulice. Widząc, że mój kolega jest silnie rozdrażniony, jego wywodom nie oponowałem. Mówił dalej: „Jeżeli jest coś prawdy na spirytyzmie, to wówczas w niego uwierzę, jeżeli mój dziadek zjawi się w mojem mieszkaniu, powtórzy swoją przepowiednię, albo przynajmniej jakimś widocznym znakiem zaznaczy swoją obecność.“ Gdy tak mówił i oba siedzieliśmy wpatrzeni w stojący przed nami samowarek, w którym woda zaczęła się kłębować, pomału ponad wodę zaczął się podnosić palec wskazujący ręki prawej i gdy już zjawił się ponad wodą, zaczął grozić w stronę kolegi. Skutek tego zjawiska był straszny: Kolega zadrżał na całem ciele, zbladł jak trup, coś niezrozumiałego zaczął bełkotać, zemdlał i upadł z krzesła na podłogę. Przyskoczyłem ku niemu, podniosłem go z ziemi, położyłem na kanapie i wszelkimi sposobami starałem się o to, by odzyskał przytomność, co mi się dopiero po dłuższym czasie udało. Pierwsze słowa jakie drżącym głosem przemówił były: „To był palec mojego dziadka! Wkrótce umrzeć muszę!“ Ja ochłonąwszy z pierwszego przerażenia, zbliżyłem się do stołu na którym stał samowarek, pod którym spirytus już zgasł. Palca już nie było — woda ostygła, a spojrzawszy do wnętrza, znalazłem w nim starą wielką rękawiczkę. Rękawiczki tej kolega, którego gospodarstwo kawalerskie wiele do życzenia pozostawiało, nalewając wodę do samowarka ze samowarka nie wyjął, a gdy skutkiem zagrzanej wody i pary rękawiczka napęczniała, palec jej wydobył się ponad wodę i groził. Dopiero gdy całą rzecz koledze wyjaśniłem, uspokoił się. W spirytyzm nie uwierzył, a to tembardziej, że mimo przepowiedni dziadka żył długie lata. *T. S. K.*

OPOWJADANIE
BOHATERA JOJNEGO KAPELUSZA JAK UN POTRZEBOWAŁ DOSTAĆ SIĘ DO NIEWOLI I UCIEKNUŁ.

Bułem ja także czas jakiś w niewoli,
A był to dla mnie bardzo brzydki skweres —
Jak o tem wspomnę, to mnie serce boli,
Bo bicz w niewoli to żaden interes.
Ja miałem rozkaz, co ja mam pilnować
Tej grubej „berty“, co ma taką rurę,
Żeby w niej można kadryla tańcować. —
Co to z niej lecą kule aż pod chmurę,
A takie duże jak chłopa chałupa —
Co huk ich słychać do nieba i piekła —
Co zabijają ludzi zaraz kupa —
Co ziemią trzęsą tak, jakby sze wszczekła!
Ale na „berty“ też sposoby mają:
Tak zwane „tanki“, co jak kuń trojański
W wnętrznościach mnóstwo wojska ukrywają,
Co to jest pomysł prawdziwie szatański!
„Tank“ taki jedzie jak po margarynie —
Zburzy, przejedzie kużdą kamienicę —
Un by przejechał, jadąc jak na szynie
Nawet w Krakowie całe Sukiennice.
To też gdy bitwa bardzo była krwawa,
Na moją „bertę“ taki tank buł w drodze,
I zachodziła nie mała obawa,
Że moją „bertę“ skiereszują srodze,

Ja, aby sercu oszczędzić bolenia,
W tył się cofnułem cicho i powoli,
Gdy jakiś żołnierz z czarnego plemienia
Za kark mnie złapił i wziun do niewoli!
Zabrał mi mundur, buty, kalesony,
Zostawił tylko koszulę. Zziębnięty
Tak wyglądałem jako powieszony,
Od szubienice gdy będzie odcięty.
W niewoli bardzo mną poniewierali:
Trefnego jadła nie było i picza —
Nawet kawałka cebuli nie dali,
A bez cebuli niema dla mnie życia.
Jako niemowle mleka pozbawione,
Zeschnie by pluskwa w hotelu bez gości,
Tak bez cebuli życie zagrożone
Kużdego żyda. Żyć nie jest w możności!
Trudno też było urządzić mi nogę —
Murzyny strzegły mnie jak oka w głowie —
Gdy kto chciał uciec, ledwie wszedł na drogę,
Już zastrzelnięty zaraz leżał w rowie.
Gdybym choć czarnym był jak te murzyny,
To zmylić czujność łatwiej by się dało,
Ale niestety i to bez mej winy,
Niebiosom białym mnie się stworzyć chciało!
Ja się przez całe tygodnie nie myłem,
Aby bicz czarnym, lecz środek był złudny,
Bo niezczerniałem, ale za to byłem
Nie przymierzając jakby szwinia brudny.
Na szczęście moje jeńce dozorował
Murzyn, co ludzie zjadał na tuziny,
Co w ludzkiem mięsie bardzo zasmakował,
Mówiąc, że lepszem jest od cielęciny —
Co zjadł już wielu badaczy Afryki,
Że dwa tuziny chudych misyonarzy
I do francuskiej przybył republiki
Cywilizować tutejszych mocarzy.
Ja więc do niego pokornie się zgłaszam,
Mówię: ja nie chcę żyć w takim chaosie,
I że usilnie o to go upraszam
Aby mnie spożył z chrzanem albo w sosie,
Że gdy narodów samostanowienie
Weszło już wszystkim i w ciało i kości,
To ja niezłomne mam postanowienie
Aby do jego dostać się wnętrzności.
Un się ucieszył i skikał z radości,
I chciał na fleku zaraz mnie zarzynać,
Lecz ja mu rzekłem, że są formalności,
Bo jestem żydem — muszę się ich trzymać:
Że wpierw się muszę udać do rabina
Co w Sadogórze z cudowności słynie,
Że jak mnie puści, wrócę. Niech zarzyna
Potem i smaży w tłustej margarynie, —
Jak paskarz, który mąki dziesięć deka
Za setki koron sprzeda bez trudności,
Murzyn w nadziei, że go pieczeń czeka
Wył przez godzinę i skikał z radości!
Pozwolił uciec, pieczeni spragniony —
Z łatwością mogłem już dezerterować
Do mego pułku. Byłem ocalony.
Pułkownik mydłem kazał mnie szurować.

T. S. K.

Z TYGODNIA.

(Luźne kartki. — Feljeton składany).

I. Ministerjum sztuki i kultury.

Przyjechał do Krakowa p. Jan Heurich podsekretarz stanu, kierownik ministerjum sztuki i kultury.

Przedstawił się wcale sympatycznie. Czuło się, że pragnąłby otoczyć opieką sztukę i kulturę, że je szczerze kocha i życzy im szczęścia, zdrowia i pomyślności.

Życzenia te objawiał w długich, kilometrowych mowach. Zebrani słuchali, słuchali, chcieli również coś powiedzieć, ale nie było na to czasu.

Zaszło widoczne nieporozumienie. Sądzono, że pan podsekretarz stanu pragnie zetknąć się ze światem literackim i artystycznym, aby poznać jego potrzeby, aby wysłuchać jego życzeń, zapatrywań, projektów, omówić środki ratunku dla tych dziedzin myśli twórczej, którym grozi zastój, a nawet upadek, — tymczasem szło mu głównie o to, aby przekonać, że należy *a)* ministerjum sztuki i kultury utrzymać i *b)* działalności jego nie krytykować.

Dzięki wymownym argumentom, zdołał p. podsekretarz stanu przekonać nawet tych, co nie odzywali się z krytyką, że osobne ministerjum sztuki i kultury... niema racji bytu.

II. Święci próżniacy.

Pocztowcy krakowscy zażądali odpoczynku niedzielnego. Żądanie ich uważamy za niewystarczające.

Jakto? w chwili gdy w tylu innych zawodach ma być zaprowadzony tydzień angielski, oni mieliby się zmuszać, gdy minie południe sobotnie, do ślęczenia za kratkami pod okiem okrutnej publiczności, albo do manipulowania aparatem Morsego? Jakgdybyśmy musieli wysyłać depesze, albo odbierać listy w dzień sobotni. A cóż robiono przed wynalezieniem telegrafu, — czyliż w wieku jaskiniowym odbierano codziennie listy? Ba! jest wielkie prawdopodobieństwo, że ich nawet nie pisano.

Albo postęp jest tylko czczem słowem, albo też wprowadzane reformy są jedynie nieśmiałym krokiem na tej drodze, na której większych należy dopiero dokonać. Skoro demokracja naprawdę się zorganizuje, wówczas obywatele będą posyłali depesze i odbierali listy raz na tydzień, ażeby przez pozostałych sześć dni listonosze mogli zajmować się polityką, a panienki od telefonu miały czas na flirty i przeglądanie żurnali.

Oczywiście będzie tak samo i w innych zawodach. Chleb np. na cały tydzień będzie się wypiekał tylko w poniedziałki (uchwała piekarzy), dzienniki będą wychodziły tylko we wtorki (uchwała zecerów), na przenoszenie się do wieczności będą wyznaczone środy (uchwała leka-

rzy), wszystkie pogrzeby będą się odbywały we czwartki (uchwała karawaniarzy). Pod grzywną będzie wzbronione rodzić w inny dzień niż w piątek (uchwała akuszerek). Tylko w soboty wolno będzie doić krowy i bliźnim szyć buty.

Jeden dzień w tygodniu będzie wyznaczony na golenie się, jeden na kochanie, jeden na zamiatanie i oświetlanie ulic, jeden na jazdę tramwajem i koleją, jeden na gotowanie na cały tydzień obiadów (uchwała kucharek), jeden na naukę w szkołach (uchwała uczniów), jeden na przedstawienia teatralne (uchwała aktorów), jeden na wycieranie kominów, jeden na wykłady prof. Flacha (uchwała urzędu zdrowia) i t. d.

Tylko wolne zawody: paskarzy, złodziejów, szlifibruków, karciarzy, dam „zbiórkowych", polityków i t. p. będą mogły wykonywać swój proceder w każdym dniu tygodnia, oczywiście z zachowaniem przepisu o 8-godzinnym dniu pracy.

III. Psie żale.

Otrzymujemy następującą skargę od „Stowarzyszenia wzajemnej pomocy psów krakowskich płci obojga".

Wielce Szanowny Djable!

Widząc, że jesteś głosicielem prawdy i obrońcą sprawiedliwości, czego dowodzi twe wystąpienie w sprawie kociej (nr. 5 Djabła) pragniemy i my za Twem pośrednictwem zwrócić uwagę społeczeństwa na krzywdę, jakiej nasza neutralna „mniejszość" doznaje.

Wiadomo Ci, że ród psi od wieków uzyskał sobie uznanie za lojalność, z jaką spełnia ciążące na nim obowiązki. Za nędzny wikt i stancję, za zgodne z przysłowiem „psie życie", pozwalamy czynić ze sobą wszystko bez warczenia; nie dość, że jesteśmy bici, kopani, ale nakładają nam na usta kagańce, choć w szczekaniu naszem niema ani połowy tej złości, nienawiści, a wreszcie głupoty, jakie wychodzą z ust ludzkich, choćby tylko w sejmie warszawskim. Stworzono nawet płatne posady hyclów v. rakarzy, których zadaniem jest tępienie naszego rodu.

Wojna pogorszyła jeszcze nasze położenie. Zeszliśmy całkiem na psy. Pomijając już to, że wielu z nas straciło swe życie na froncie — spełniając czynności posyłkowe, pocztowe i wywiadowcze, — wiadomo każdemu, że trudności aprowizacyjne kazały wielu naszym właścicielom wygnać nas od siebie i skazać na śmierć głodową.

Co więcej, w ostatnich czasach połowa nas ginie haniebną śmiercią przez powieszenie. Faktem jest, że niema prawie uczciwego człowieka, na którymby psów nie wieszano.

Otóż w tej właśnie sprawie udajemy się do Ciebie, panie Djable, z prośbą o pomoc i radę. Czyby nie można zakazać takiego wieszania psów na uczciwych ludziach, a jeżeliby tego nikczemnego zwyczaju wykorzenić się nie zdołało, czyby się nie dało owych uczciwych ludzi ewakuować z Krakowa.

Machając ogonami na znak naszego wysokiego poważania, wyszczekujemy z góry wyrazy wdzięczności za spodziewane uwzględnienie naszej prośby. (podpisy).

Na żale te odpowiadamy:

Szanowni Panie i Panowie!

Pojmujemy wasze ciężkie położenie, ale wierzcie nam, że „ludzkie życie" nie wiele więcej warte niż „psie życie".

Co do waszej prośby, musimy dać odmowną odpowiedź. Naprzód przesadzacie, jak zresztą wszyscy „neutralni", pisząc o waszych pogromach. Prawda, że na uczciwych psy się wiesza, ale tych uczciwych jest tak mało, że i psów ginie w ten sposób niesłychanie drobny procent. Wyewakuować uczciwych! — co za myśl dzika. Raczej nieuczciwych wypędzićby należało. Ale wówczas bruki i chodniki krakowskie porosłyby trawą, opustoszałyby handle, zamknąćby trzeba było szkoły, teatry... Wyludniony Kraków zeszedłby „na psy".

Zresztą skarga wasza spóźniona. Ogromna przyszłość jest przed wami. Przez podział ziemi między chłopów, przybędzie milion gospodarstw chłopskich, a każdy chłop przynajmniej jednego psa potrzebuje. Więc zapsienie kraju szalenie się powiększy. Prawda, że być na chłopskiej łasce nieprzyjemnie, że chłop jest egoista i tak chciwy, że psu by z gardła wydarł, ale bądź co bądź o wytępieniu waszego rodu mowy być nie może.

I bolszewicy działają na waszą korzyść, bo wszakże to „psie nasienie".

Więc bądźcie dobrej myśli, rozpogódźcie swe pyski, a jeżeli będzie wam źle, to zgłoście się do Ententy, która wszystkich „psów" w opiekę bierze. „Djabeł" m. p.

NADESŁANE.

!! SUBSKRYBUJCIE POLSKĄ POŻYCZKĘ !!

Wydawca i odpowiedzialny redaktor: Władysław Borkowski.

Zakłady Graficzne E. i Dr. K. Koziańskich w Krakowie.